

# Chcemy, żeby było pięknie

Jak wam się pracowało nad spektaklem?

- Pracy było dużo. Zwłaszcza dla moich kolegów, którzy posiadli różne nowe umiejętności: spawanie i prace ślusarskie.

Tym razem zamierzaliśmy przedstawić widowiskowe. Chcieliśmy zbudować sekwencje obrazów sugestywnych, dużych. Takich, które mogłyby dotrzeć również do ludzi w dziesiątym, piętnastym rzędzie. „Sabat” wymagał scenografii zrobionej z rozmachem. Nie wystarczyłyby środki wyłącznie aktorskie.

Pracowaliście bez Lecha Raczaka. Wasze drogi się rozeszły. Czy było trudniej? Kto w zespole przejął jego funkcje?

- Nie mam poczucia, żeby w wypadku budowania tego spektaklu nieobecność Leszka była rewolucją. Nikt też nie próbuje go zastępować. Ja czasami biorę na siebie taką rolę... trudno powiedzieć reżysera, raczej „reżysera konsultowanego”. Jeżeli jestem akurat na zewnątrz przedstawienia, mam jakąś własną opinię, potem ktoś jeszcze to ogląda, i rozmawiamy. Ale tak przecież było

zawsze. Szczególnie w ostatnich latach.

Warto opowiedzieć o roli Leszka w waszym teatrze, tak specyficzna, nieporównywalnej z rolą innych reżyserów.

- Był oczywiście pierwszym widzem, selekcyjował materiał, sugerował, w jakim kierunku rozwijać improwizację. Najważniejsza była jego rola przy komponowaniu samego przedstawienia, które - powstając drogą improwizacji - składało się z modułów, scen, pewnych zamkniętych całości. Myśmy zanurzali się w spektaklu, a on mógł kontrolować rzeczy bardzo istotne, czyli na przykład rytm przedstawienia.

Czy to Leszek mówił, że już należy improwizację skończyć?

- Nie. To zawsze była rozmowa. Leszek jest człowiekiem niezwykle kulturalnym, delikatnym. On nigdy nie ucina... A my jesteśmy ludźmi, z którymi nie dałoby się pracować inaczej. I bardzo długo udawało nam się być razem.

Leszek zawsze pełnił rolę katalizatora. Jesteśmy młodszy

od niego, swego czasu mieliśmy rewolucyjne temperamento... No, może nie wszyscy, ale ja na pewno. Wiele Leszkowi zawdzięczam w edukacji politycznej, społecznej i moralnej. Uczyłam się od niego tolerancji, pewnego spokoju i teatru.

Nad przedstawieniami ulicznymi pracuję się nieco inaczej niż nad tymi w sali. Nie wychodzimy od improwizacji, tylko od pewnej wizji teatru w przestrzeni. I oczywiście od tematu. Ale tu, wyjątkowo, temat można opracować przez klasyczne konstruowanie scenariusza. Nie z improwizacji, tylko z koncepcji, rozmów, lektur.

Zawsze tak robiliście uliczne spektakle, czy ten jest wyjątkiem?

- W jakimś sensie zawsze. Szczególnie te, które muszą się odnieść do dużej widowni. Przede wszystkim tak było ze „Wschodem”.

Jesteście jednym z nielicznych zespołów, które pokazują na ulicy spektakle poważne i ważne.

- Była taka, barbowska zresztą, tradycja teatru barwnego, efektownego. Bajki, w których zwycięża dobro. My natomiast stworzyliśmy antyestetyczny teatr uliczny. Myślę, że to ciekawe i lubię ten nasz brzydki teatr. Cieszę się też, że znaleźliśmy dla niego widzów. Bo łatwo się poddać myśli, że ludzie chcą, żeby było pięknie, kolorowo i baloniki. Chociaż potem okazuje się, że to nieprawda.

Tym razem chcieliśmy jednak zrobić przedstawienie, które będzie piękne. Zawsze żyliśmy w sprzeczności: chcieliśmy robić bardzo piękny teatr, tylko dusze mamy czarne.

A poza tym życie jest, jakie jest - No właśnie. Dlatego zawsze wychodziło nam inaczej. A więc i tym razem mogę się mylić. Ale na pewno w tym przedstawieniu jest kilka obrazów dużych i pięknych.

Współpracujecie z aktorami Biura Podróży.

Od początku wiedzieliśmy, że nas na ten spektakl nie wystarczy. Początkowo myśleliśmy o współpracy z Provisorium, ale oni nie mogli nam pomóc. Wtedy postawiliśmy na Biuro Podróży.

Współpracowało nam się bardzo dobrze. Bardzo ich cenię, uważam, że to szalenie twórczy zespół, z dużymi szansami. Trochę żałuję, że było mało czasu na pracę aktorską, warsztatową. Bo to najciekawsze i najgłębsze spotkania.

Rozmawiała Ewa  
OBREBOWSKA-PIASECKA